

26 Reżyser Vojo Stankowski, żyjący w Szwecji Jugosłowianin, wypracował sobie konwencję teatralną, jego zdaniem idealną do adaptowania na scenę tekstów, które... praktycznie do teatru się nie nadają. Chodzi tu o teksty religijne, poetyckie, wymagające ciszy pełnej refleksji i skupienia; powolnej lektury.

W ciągu ostatnich 4 lat Vojo Stankowski zrealizował w Krakowie kilka tego typu spektakli, z czego „Pieśni nad pieśniami” i „Gilgamesz” były naprawdę udane.

Najogólniej stylistyka, którą posługuje się ten reżyser wygląda następująco: obfitość muzyki o szerokiej, „rozlanej” frazie, bogatych barwach, idzie w parze z obfitością scenograficzną: sute draperie stanowią zasadniczy element dekoracji i strojów. Na ten „powłóczysty”, pozbawiony kantów i linii prostych obraz, kładą się starannie dobrane, intensywne światła i... półcień.

Aktora w teatrze Stankowskiego znakomicie zastępuje lalka, ponieważ ruch i gestykulacja sprowadzają się praktycznie do nieczęsto zmieniających się „pomnikowych”. Zaś recytacja (bo tym w gruncie rzeczy jest przekaz poetyckiego tekstu) równie dobrze mogłaby być słyszana spoza kulis. Można by nawet powiedzieć, że... lalka „gra” w takiej stylistyce naturalniej niż

Z teatru

„Odyseja”

człowiek i że to co pasuje lalce, w wykonaniu aktora staje się rażące i niezręczne.

Tu tkwi skaza nowohuckiej „Odysei”: Stankowski traktuje aktorów jak lalki...

Kolejna skaza, pokrewna zresztą pierwszej, w jeszcze większym stopniu obniża wartość spektaklu: reżyser zbyt mało eksponuje urodę tekstu. Paradoksalne! Inscenizuje dzieło, którego zasadnicza siła tkwi w subtelnościach retorycznych i poetyckich, po czym bagatelizuje jego piękno, nie „wygrywa” niuansów i sensów (banalna przyczyna, że Stankowski jest cudzoziemcem nie usprawiedliwia tego faktu)!

Trzecia skaza... o nie, to już trudno nazwać skazą, to poważne pęknięcie: „Odyseja” Stankowskiego jest niezrozumiała i nudna. Przywodzi na myśl rumuński kryminał, w którym wszystko co najciekawsze i najistotniejsze jest opowiedziane, a nie pokazane, oraz w którym są same niewiadome...

Wydaje się, że Vojo Stankowski błędnie interpretuje

przykazanie „po pierwsze — nie za długo”, bo poprzykrywał Homerski poemat tak skwapliwie, że zostały z niego tylko luźne strzępy z trudem dające się połączyć w całość.

W parodystycznym streszczeniu spektakl ten wygląda następująco: scena tonie w białych dymach i białych szmatach. Po scenie płacze się Odys popatrując tu i ówdzie to gniewnym, to miłosnym, to znów zdziwionym spojrzeniem. Zdziwienie zwłaszcza jest tu na miejscu, skoro zza kulis raz po raz wynurza się jakaś słabo identyfikowalna postać, sennie zmierzająca w jego stronę aby powiedzieć kilka słów lub zdań — ukryć się na powrót w przepastnych fałdach białej materii.

„Odyseja” w adaptacji Voja Stankowskiego jest — jak już było powiedziane — skąpym wyborem kilku wątków. Luźne ich połączenie, daleko posunięta umowność scenograficzna, połączona na dodatek z niekonsekwentnym stosowaniem jej elementów, wreszcie lakoniczność działań scenicz-

nych (zapowiedziane „atrakcje” fabularne na ogół na samych zapowiedziach się kończą, a to co dzieje się na scenie nągminnie pozostaje w luźnym związku z deklamowanym przez aktorów tekstem) dodatkowo gmatwują czytelność całości.

W związku z tym pada pytanie dla kogo i po co Teatr Ludowy przygotował „Odyseję”? Dla smakoszy i znawców? Dla nich na pewno spektakl ten nie będzie uczcą duchową. A może dla tzw. szerokiego widza (młodzieży zwłaszcza), żeby przybliżyć starożytne arcydzieło? Kto po raz pierwszy spotka się z „Odyseją” na tym spektaklu — po prostu mało co z niego zrozumie, a nawet gdy polapie się w tej bełkotliwej gmatwaninie to i tak pozna jakąś mizerną, niereprezentatywną karykaturę poematu Homera...

DOROTA KRZYWICKA

HOMER — „ODYSEJA”: przekład Jan Parandowski; adaptacja i reżyseria Vojo Stankowski (Szwecja), scenografia — Janusz Trzebiatowski, kostiumy — Anna Sekuła, muzyka — Jolanta Szczerba, ruch sceniczny — Jacek Tomasiak; aktorzy: J. Lesiak, T. Szaniecki, Z. Zaniewski, K. J. Wojciechowski, J. Paruszyński, A. Franczyk, K. Górecki, Z. Wilkówna, Z. Klucznik, A. Gazdeczka, E. Sasiadek, I. Kaskiewicz, K. Rutkowska, E. Horecka i inni.

DZIENNIK POLSKI

Nr 224 z dn. 26-09-66

26
KRZYSZTOF MIKLASZEWSKI

Bryk jako światopogląd

Nawet największy fanatyk szkolnej praworządności nie zaprzeczy potrzeby „ściąg” i „bryków”. Nikt nie może przeczyć ani wszystkiego na czas przeczytać, ani też w lot nauczycielskiej myśli wszystkiego uchwycić. Nic zatem dziwnego — a wiedzą to przede wszystkim mający młodemu z te i rodzice, i dziadkowie — jaką oszczędność czasu przynosi dobry „bryk”, jak chroni przed kłesłą dobrze zrobiona i dobrze schowana „ściągą”. „Wszystko jednak ma swoje granice” — powiedział już Homer, który — jak twierdził Zygmunt Kubiak — nie był wcale... ślepce.

I właśnie On, któremu przypisano (pewności, że jest autorem, nie potwierdzają badania szczegółowe) zapis dwóch eposów, bez znajomości których Europejczyk musi poczuć się barbarzyńcą (widzę już tłumy przyznające się do tego bez żadnych skrępowań), rzucić powinien pozagrobową kłatwę na nowohucki Teatr Ludowy. Pretekst doskonały stanowi ostatnia premiera sceny, która zapragnęła przedstawić swym widzom „Odyseję”. Sceniczna przeróbka eposu jest bowiem wysoce przykrym „gesztem”, by użyć właściwego słowa, które potrafiłoby oddać charakter tych „twórczych” zabiegów. Przeraża po prostu bezceremonialność, z jaką genialne dzieło spitaszono i sfuszerowano. Trudno też zgadnąć, czy ma się do czynienia z głupotą adaptatora, czy też z cynizmem inscenizatora. A ponieważ jest to jedna osoba, więc chyba i z jednym, i z drugim.

Vojo Stankovski — bo o nim, tym chwalonym przeze mnie kilkakrotnie Macedończyku pracującym w Szwecji, jest mowa — dowiódł, że rozkochany łatwością krakowskiego sukcesu, może dokonywać czynów Herostratesowych w teatrze. Stankovski bowiem postanowił narzucić dziełu swoją, zrodzoną w swoim umyśle, strukturę. A stanowić ją miało przeplatanie się melorecytacji tyrad Olimpów ze skeczami ziemian, pośród których uwijał się nie wiadomo przed kim uciekający atrakcyjny Odys (Krzysztof J. Wojciechowski), odbywający „ciemniową drogę” od obozowładniającej go seksem Zdzisławy Wilkówny jako Nauzyka, do wiernej mu i jego spragnionej Wilkówny Zdzisławy jako Penelopy. Droga nie była łatwa, bo wszystko chciała popsuć Ewa Sasiadek jako Kirke oraz nieustannie zmieniające szatki Ewa Czajkowska, Małgorzata Krochmal i Maja Wiśniewska.

Muszę stwierdzić, że Wojciechowski ma wyjątkowego pecha: uciekając z „Bagateli”, od razu wpadał w łapy Andrzeja Gądeczki jako Kiklopa i tylko wyjątkowe szczęście wybawiło go szybko z opresji. Tym szczęściem był zapewne reżyserki ołówek, który tekst Jana Parandowskiego obcinał w miejscach zupełnie dla nikogo niespodziewanych. Może decydowały o tym kłopoty z językiem polskim, który Parandowski w swoim przekładzie „Odysei” podniósł na niedostępną, jak się okazuje, znaczeniowo wyżynę. Może jest to świadome nawiązanie do tradycji Teatru

Ludowego z lat 70., kiedy to Waldemar Krygier po powrocie z Moskwy, gdzie uzyskał dyplom GITIS-u, potrafił zaadaptować „Sennik współczesny” Konwieskiego w ciągu jednej nocy. Witkacy mawiał nie na darmo: „Intuicja to piekielna rzecz. Co przyjdzie do ręki, wykonać natychmiast”.

Obojętnej scenicznej drogi Wojciechowskiego od Wilkówny do Wilkówny inscenizacji Stankovskiego przyswiecał pomysł drugi, jeszcze bardziej porażający. Na tak zwaną scenografię złożyło się bowiem kilka zawieszonych równolegle mniej lub bardziej pofalowanych szmat, które w zależności od potrzeby tworzyły coraz to nowe... kompozycje. Ich wielkość i charakter podwieszenia wymagał od aktorów, uwijających się wśród nich, dodatkowej pracy fizycznej, by sprostać tej przelewanej z pustego w próżne wizji. Zapewne zaś w obawie, aby nie stanąć pojedynczo przed sądem historii, powołał Stankovski pod broń znanego nowohuckiego twórcę Janusza Trzebiatowskiego dla zaprojektowania charakteru owych fałdów. Odys miał się bowiem „przewalać albo między falami i batwanami, albo unosić w chmurach pośród szczytów (tu przypominał mi się cykl tatrzańskich grafik Trzebiatowskiego). Działo się to zresztą po każdej wypowiedzianej zwrotce, do której zwykle została sprowadzona kolejna przygoda Odysa. Stankovski bowiem streścił utwór maksymalnie, by móc pobawić się szmatami, na które rzucił zmieniające się nieustannie światło.

Byłaby więc szansa na poetycką dyskotekę pośród fal i modliszkowatych kobiet, próbujących dopaść dobrze prezentującego się bohatera spod Troi, który po dowcipach z Cyklopem nie wiadomo dlaczego zszarzał i posmutniał, gdyby nie Jolanta Szczerba, która nadała pulsującemu rytmowi tkanin dodatkowej ekspresji fonicznej. Zrobienie z Homera konwulsyjnego tańca wyławianych pochłaniających je szmat ludzkich homarów nie nastroczało Stankovskiemu żadnych kłopotów. Zważając, że wszystko potem można zwałić i na żywioły, i na namietność. Jest więc w Nowej Hucie bryk jak się patrzy, udowadniający wszem wobec, w jakiej to arcyprzystępnej i awangardowej formie należy dziatwie przyswajać Lektury.

Namietność żywiołu, popularyzacji, przyswiecająca kolejnej próbie sceny (po kiczowatych biografiach scenicznych Jana Kasprowicza i Marii Curie-Skłodowskiej), prowadzi w Teatrze Ludowym do kolejnego fałszerstwa. Tym razem utworu, którego może na scenie wystawiać nie trzeba. A, że bryk może być też dziełem sztuki, dowodziła tego niezawodna Księgarnia Zuckerkandla w okresie międzywojennym, działająca we Lwowie i Złoczowie a produkująca bryki w milionowych nakładach. Giżycki dowodzi, że Zuckerkandlem nie jest, mimo że ideologia bryku przestronała mu poszukiwania repertuarowe. A kramik ze szmatkami Stankovskiego pora — najwyższy czas na to — przewietrzyć. Homer na scenie nie powinien być importowanym buble.

26

Zeby mieć pomysł, trzeba najpierw pomyśleć. Jednak najbardziej nawet wyteżone i uporczywe myślenie nie zapewnia jeszcze pomyslnego rezultatu, dlatego też pomysły bywają dobre i złe. W teatrze również. Wyjątkowo fatalnym pomysłem jest bez wątpienia przerobienie Homerowej „Odysei” na widowisko teatralne, a takim właśnie przedsięwzięciem zainaugurował nowy sezon Teatr Ludowy w Nowej Hucie. Niewdzięcznego i zuchwałego zadania podjął się Vojo Stankovski.

Przerabiać na scenę można wszystko, co dusza zamarzy, a ręka zapisać. Kino i telewizja coraz częściej i coraz bardziej rozpaczliwie żywią się literaturą, korzysta z niej także i teatr. Adaptacje jak adaptacje, bywają dobre, takie sobie lub okropne. Podobnie przedstawienia. Scena jest cierpliwa, publiczność także. Zwłaszcza publiczność młoda, której wizyta w teatrze zastąpi prawdopodobnie przeczytanie Homera. Bez przesady zatożyć można, że nieliczni z młodzieżowej wi-

BOŻENA WINNICKA

Płynął, płynął i dopłynął

downi przeczytali całą „Odyseję”; reszta o przygodach króla Itaki mgliste jedynie ma wyobrażenie. Tym większa jest odpowiedzialność teatru, który stare, dostojne, omszałe jak dąb Zeusowy dzieło wprowadza pomiędzy nowych ludzi. Trzeba przyznać bezstronnie, że nie szczędzono kosztów, ani wysiłków, aby przedstawienie było okazałe, przyjemne i pożyteczne. Czy jest okazałe? Nawet bardzo. Nie jest jednak ani przyjemne, ani pożyteczne.

Najpierw są dymy, obfite i gęste. Zasnuwają scenę i widownię, z której tu i ówdzie rozlega się dyskretnie, grzeczne pokaskiwanie, zagłuszane skutecznie muzyką. Muzyki jest bardzo dużo, potężnej, symfonicznej niemal. Scena tonie w białych draperiach, ładnie podwieszonych, w doskonałym gatunku. Białe, czyste, schludnie. Jest to jedyny naprawdę estetyczny obrazek. Potem jest coraz gorzej. Białe materiały przyjmują różne kształty, falują, gdyż ukryci pod nimi aktorzy przy pomocy długich patyków, i nie tylko, tworzą mniej lub bardziej uciężne purchle. Ci milczący aktorzy są cichymi bohaterami tej „Odysei”. Niektórzy, niestety mówią, co zresztą wyrażnie przeszkadza reżyserowi w jego wizjach. Pętają się więc po scenie, kołyszają w podmuchach muzyki, są chodzącą i mówiącą dekoracją. Chodzą powoli, a mówią zupełnie niepotrzebnie i tak bowiem trudno się zorientować, o co w ogóle chodzi. Wszystko to, oświetlane jaskrawymi kolorami, ma zapewne pobudzać wyobraźnię. Nie pobudza. Dymy kopcą, muzyka grzmi, biele falują, nieszczęśni aktorzy smędką, jest dostojnie, pretensjonalnie i niebywale nudno. Coś pomiędzy Warszawską Jesienią a uroczystą akademią. Vojo Stankovski zapragnął zapewne być malarzem i poetą sceny. Wybrał więc parę kawałków z „Odysei”, dość przypadkowo, na chybił trafił, i wetknął je w statyczną i pompatozną teatralną foremkę. Dlaczego akurat z „Odysei”? Nie wiadomo, gdyż z widowiska wynika tylko jedno: Odyseusz płynął, płynął i dopłynął. Równie dobrze mogłoby się to nazywać „20 000 mil podmorskiej żeglugi” na przykład. No cóż, można i tak. Tylko po co?

Zdarza się, że po filmie czy przedstawieniu będącym przeróbką powieści widzowie sięgają do książki. Nie tylko „Isaury” zapewne to dotyczy. Myślę, że po „Odysei” nikt z widzów nie zajrzy do Homera. Nie zajrzyłby i bez tego spektaklu, więc bogowie z nim. Co gorsza, po wizycie w Teatrze Ludowym trudno będzie nauczycielom przekonać uczniów, że obcowali oto ze szczytowym osiągnięciem epiki greckiej, pomnikiem światowej literatury, arcydziełem kompozycji, jedności i harmonii.

Dziesięć lat trwała podróż Odyseusza spod Troi do rodzinnego domu, podróż pełna przygód dziwnych a okrutnych. Przedstawienie „Odysei” trwa niespełna półtorej godziny, za to wlecze się leniwie, jest teatralnie naiwne i niefrasobliwie bezmyślne. Pomysł jest, jeno myślą nie tknięty.

Powiada Homer: „Bogowie, którzy przedą ludzki kres, sprawili to wszystko, aby z nich wyszła pieśń dla tych, co przyjdą”. O nie. Z przedstawieniem „Odysei” bogowie nic nie mieli wspólnego.

BOŻENA WINNICKA

26 NAMIASKA

O DYSEJA Homera w Państwowym Teatrze Ludowym w Krakowie-Nowej Hucie. Efektowny i wartościowy program teatralny, a w nim między innymi „Odyseja” Leopolda Staffa, wyjątek z „Powrotu Odysa” Stanisława Wyspiańskiego, stosowne fragmenty esejów Zygmunta Kubiaka i Jana Parandowskiego, chronologia podróży Odysusza, słownik imion i nazw.

Autor, bohater, temat — same wielkości. Adaptacja i reżyseria — Wojciech Stankowski ze Szwecji. Wystarczy, żeby biec do teatru z podnieceniem i zaciekawieniem: co też pokaza, jak oni to zrobili, po co? Tym bardziej że przypomniało mi się przedstawienie „Odysei” w Teatrze Rapsodycznym u Kotlarczyka, sprzed jakichś dwudziestu lat. Sprawa trudna: co zrobić na scenie z taką olbrzymią epiką?

No i co? Cieszyć się. Premiera prasowa i zaledwie ponad połowa widowni zajęta. Jakos chłodno i niemrawo, bez iskry niecierpliwego oczekiwania.

Na scenie przy odsłoniętej kurtynie oszałamiająca obfitość białego płótna, które zewsząd zwisa, spływa z wysokiej nieskończoności gładkimi ścianami, dalekimi bezkresami, fantazyjnymi draperiami, niepokojącymi fałdami, kładzie się łagodnie, to znowu spiętrza tajemniczo lub zapada w groźne przepaście. Z chwilą rozpoznać przedstawię to, płótno nabierze życia, będzie szaleć od wigoru i umierać z trwogi, będzie wraz z muzyką i zmieniającym kolory światłem grać główną rolę, będzie Olimpem, niebem, morzem, wiatrem, falą, skałą, miastem, pałacem, jaskinią, Kiklopem, krowami, drzewami, brzegiem morskim, ziemią... Wnet by człowiek gotów uwierzyć, że to płótno jest żywą istotą albo że skrywa sobą jakieś potężne życie, raz uśmiechnięte, raz płaczące, raz gniewne. A to tylko maszyny, technicy i aktorzy wyrabiają z nim takie hece, że aż dziw bierze i pytanie się budzi: co tu się gra, o co to chodzi? Tak by się chciało posłuchać Homerowej epopei w pięknym przekładzie Parandowskiego, posłuchać w spokoju, bez trzepotania się płótna i świateł. Tak by się chciało spotkać homeryckiego człowieka, stojącego u źródła naszej cywilizacji, a przecież już tak zadziwiająco pełnego, otwartego na nieznaną przyszłość, gotowego do drogi, wiodącej przez trzydzieści wieków ku naszym doświadczeniom i pytaniom. Tak by się chciało zobaczyć Odysa, a w nim siebie, wracającego do swej Itaki. Tak by się chciało... A tu nie, tylko to wściekle płótno, wzdymające się dzikimi podmuchami i zdychające płasko na podłodze sceny.

Jaka szkoda, jaki żal! Adaptacja i reżyseria jest taka, że z Homera „Odysei” pozostał marny destruktor, blade wspomnienie, namiastka, cień. Żeby to był choć brzyk dla młodzieży, przedstawiony fachowo, zreżymowany, pracowicie. Żeby choć próbki pięknego języka, recytacji, nastroju

przygody i nostalgii. Niestety. Tekst zredukowany do niewyraźnych zarysów, do szczątków czegoś, do bezkrwistej mialkości. Chuda atrapa, falująca na płóciennych bałwanach.

Aktorzy dostosowali się do pomysłu, to znaczy szybko się połąkali, że nie ma w co się angażować. Byli więc podwójnie na niby, byle jak, byle do końca dotrwać na scenie. To już nawet nie to, że nie potrafili czy nie wysilali się, żeby należycie mówić poetycki tekst, bo to i tak niewielu polskich aktorów potrafi, ale żeby grali swoje role z szacunkiem dla sprawy, dla widza. Czuli się źle w kilkutach tekstu, w omotaniu płótnem. Nie nastąpiło owo zaiskrzenie się, owo zadzierzgnięcie więzi pomiędzy tekstem, aktorami i widzami, konieczne, aby mógł zaistnieć prawdziwy spektakl teatralny. Zamiast tego — teatr ogarnięty letniością i dretwotą, coś niebezpiecznie bliskiego nudy. A przecież znam możliwości tych aktorów, zdarzało mi się ich podziwiać, serdecznie okłaskiwać. Tym razem zaś tacy bez wyrazu, jakby nie u siebie, jakby pod przymusem. Trochę lepiej radziły sobie panie — Jadwiga Lesiak, próbująca być Ateną, Zdzisława Wilkówna, wnosząca nieco wdzięku Nauzykai i powagi Penelopy, Eugenia Horecka, stwarzająca jedyny w tym przedstawieniu moment wzruszenia, kiedy jako Eurykleja rozpoznaje Odysa. Krzysztof J. Wojciechowski posiada warunki, żeby rolę Odysa zagrać na pełnym głosie, na pełnym geście, lecz takiej roli nie zagrał, bo w swojego Odysa nie uwierzył. Poza tym, dał się razem ze swoimi towarzyszami przygód stłamsić przez kaskady płótna.

Cóż więc zostało z Homera i Odysa? Niewiele. Taka szkoda! Ani rapsodyczny urok słowa, ani widowisko, ani opowieść. Wątpię, żeby się mógł ten spektakl dłużej utrzymać w repertuarze. Wygaśnie szybko, jak zniknęła o niebo lepsza „Ucieczka” Bułhakowa czy „Wilki” Rollanda. Dlaczego tak się dzieje? Dlaczego marnuje się wysiłek artystyczny sympatycznego zespołu aktorskiego? Trudno pisać o tym bez uczucia smutku. Trzeba się zatem pocieszyć przepisując zdania o Homerze, jakiego Kubiak napisał w „Pólmroku ludzkiego świata”: Miał tylko poezję, tylko słowami układanymi w roziskrzane wiersze mógł się przedzierać do tajemnicy świata i życia. Poezja była dla niego zapewne tym, czym jest lampa w mroku. To nam tłumaczy niezwykłą intensywność poezji Homera. W swej epopei powie przez usta jednej z bohatererek, że Zeus żył na ludzi cierpienia, aby o nich powstała pieśń dla przyszłych pokoleń. Aforyzm ten może się nam wydać okrutny (albo przynajmniej zbieżny z findesieciową teorią o sztuce ważniejszej od życia), dopóki nie uświadomimy sobie, czym dla autora „Iliady” i „Odysei” musiała być poezja.

KAZIMIERZ KANIA

Państwowy Teatr Ludowy w Krakowie-Nowej Hucie. „Odyseja” Homera. Adaptacja i reżyseria Wojciech Stankowski (Szwecja). Scenografia: Janusz Trzebiatowski. Muzyka: Jolanta Szczerba. Premiera — wrzesień 1986 r.